Nr. 8. We Lwowie dnia 27. Kwietnia 1872. Rok VIII.



Wychodzi dwa razy na miesiąc.
Kosztuje:
rocznie . . 4 złr. 40 ct.
dla szkółek 3 „ 30 „
Adres Lwów Nr. 35$^{4}/_{4}$

OPIEKUN DZIECI NASZYCH.

Modlitwa Pańska.

II.

Druga prośba jest: *„Święć się Imię Twoje“*. Święcić Imię Pana, jest to kochać Go całą swoją duszą, i wypełniać wiernie naukę ewangeliczną i przepisy kościoła. Gdy Imię Pana po całej ziemi tak będzie święcone, zniknie z niej wszystko co ludziom dolega, zniknie z niej niedola, niesprawiedliwość, oszukaństwo, bo kochając prawdziwie Boga, czyż człowiek może się dopuszczać podobnych zdrożności?

Niechże się więc święci Imię Twoje Panie na wysokościach!...

III.

W trzeciej prośbie mówimy: *„Przyjdź królestwo Twoje“*, czyli przyjdź panowanie dobrego, które nie utrzyma się, jeźli ludzie są źli i zepsuci. W prożbie więc tej mieści się błaganie, aby ludzie stawali się coraz lepszymi, a więc i ten, który słowa te z pobożnością wymawia, o to samo dla siebie prosi. Stawać się zaś coraz lepszym, czyż można bez pracy, i starania, i bez pilnej rozwagi wszystkich swych czynności?

Gdy więc wymawiacie słowa modlitwy „Przyjdź królestwo Twoje“, wejrzyjcie pilnie w sprawy swe dnia całego, i jak tylko dopatrzycie w nich jakiej zdrożności, lub jakiegoś przekroczenia przeciw rodzicom, zaraz przyrzeczcie w myśli staranie, że powtórzenia tegoż unikać będziecie całą siłą. Przyrzeczenie jednak choćby najszczersze, nic nie znaczy bez wypełnienia jego. Słowo więc i modlitwa, zawsze jest tylko czczą i mało znaczącą, gdy czynem nie jest popartą. Proście więc Boga, aby królestwo Jego zapanowało na ziemi, dobremi zaś postępkami zasługujcie na nie.

PIEŚŃ

do Najświętszej Panny Marji w stóletnią rocznicę pierwszego rozbioru Polski.

(na nutę „Boże coś Polskę“).

1.

Jako rozbitki na spruchniałej desce,
Których co chwila morze ma pochłonąć,

Nad grobem w wodzie, przecież jednak jeszcze
Proszą Cię Boże, byś im nie dał tonąć:

Tak my do Ciebie jedyna kotwico,
Zwracamy wzrok nasz, Maryjo Dziewico.

II.

Jak biedna matka konające dziecię
Tuli do swego zbolałego łona,
Wznosi wzrok w niebo, i prosi o życie,
Gdzie jej nadzieja i cała obrona:

Tak my do Ciebie jedyna kotwico,
Zwracamy wzrok nasz Maryjo Dziewico.

III.

Jako pacholę zbłąkane wśród kniei
Szuka daremnie, choć małej drożyny,
Nie tracąc przecież do wyjścia nadziei,
Czeka co chwila pomocy matczynej:

Tak my do Ciebie jedyna kotwico,
Zwracamy wzrok nasz Maryjo Dziewico.

IV.

Jako niewolnik, okuty w kajdany,
Przez grube mury i ciemne więzienia,
Duchem swym widzi kraj swój ukochany
I Ciebie wzywa Matkę wybawienia:

Tak my do Ciebie jedyna kotwico,
Zwracamy wzrok nasz Maryjo Dziewico.

V.

Jako młodzieniec wygnany z ojczyzny
Oczy swe zwraca przez lądy i morza,
Tęsknotą party — tam, gdzie kraj kochany
I gdzie nad Polską wschodzi ranna zorza:

Tak my do Ciebie jedyna kotwico,
Zwracamy wzrok nasz Maryjo Dziewico.

VI.

Jako biskupi i polscy kapłani,
Od swego wzięci kościoła i ludu
I w straszne śniegi Sybiru zagnani,
Czekają z nieba wybawienia cudu:

Tak my do Ciebie jedyna kotwico,
Zwracamy wzrok nasz, Maryjo Dziewico!

Dobre dzieci.

Państwo Z. skutkiem nieszczęść rozmaitych bardzo podupadli. Z dość ładnego majątku jaki niegdyś posiadali, pozostał im tylko mały folwarczek, z kilku włók złożony, zaledwie wystarczający na skromne utrzymanie licznej rodziny. Do nieszczęść domowych przyłączyła się jeszcze choroba Matki, która będąc delikatnego zdrowia, przyzwyczajona do wygód, w coraz większe wpadała cierpienie. Choroba coraz bardziej się wzmagała, a choć pomoc lekarska była konieczną, pan Z. pozbawiony zasobów pieniężnych, nie śmiał wezwać pomocy lekarza, mieszkającego w miasteczku, o kilka mil oddalonego, i sprowadzenie jego od dnia do dnia odwlekał.

Z czworga dzieci, którémi ich Bóg obdarzył, starsze z nich Jaś i Helenka pojmowały dobrze to rozpaczliwe rodziców swoich położenie, młodsze Bolesław i Jadwinia smuciły się także, ale jeszcze nie pojmowały dobrze całego nieszczęścia, jakie ich obarcza. Cisza też zaległa ubogi domek pp. Z. Matka nie podnosiła się z łóżka, ojciec zrozpaczony tracił prawie głowę, a dzieci nie śmiały się odezwać, żeby rodzicom nie wyrządzić przykrości. Jeden tylko Janek jakoś był niezwykle zamyślony, często wybiegał z domu, i po półdniowej nieobecności powróciwszy zasiadał gdzie w kąciku jeszcze smutniejszy niż zwykle. Ale raz cichaczem przywołał do siebie Helenkę i rzekł: „Nie płacz Helciu, uspokój się, już wynalazłem środek, który mamie przywróci zdrowie, ale musimy się wszyscy zabrać do pracy, bo przekonałem się, że sam temu nie podołam. Dowiedziałem się, że w tej okolicy jest sławna lekarka Andrzejowa, do której w chorobach wszyscy się udają po radę zawsze z bardzo dobrym skutkiem. Otóż póty za nią wybiegałem w różne strony, aż przecie spotkałem się z nią, i ta wywiedziawszy się pilnie, co mamie dolega, poradziła mi, aby uzbierać po polach i bagnach wietrznicy, sasanek i lilji wodnej, i zrobić z tego trzy kąpiele, a zdrowie mamie z pewnością powróci...“

— Ach! Bóg by to dał — przerwała Helenka, wnosząc oczy ku Niebu — aż serce się kraje, patrzeć na cierpienia mamy naszej, i na rozpacz biednego naszego ojca. Ale czy tylko można jej zawierzyć?

— Dlaczegóż by nie? Wszakże za radę tę żadnej nie wzięła zapłaty. Chciałem jej dać ostatnią jaką miałem złotówkę, jednak nie przyjęła powiadając, że wie, jakeśmy teraz zubożeli, że kiedyś rodzice nasi jak byli w lepszym bycie, to ludziom dosyć rozdawali darmo lekarstw, więc ona nic nie

straci jeżeli rady udzieli także darmo. Podziękowałem też jej serdecznie, a nawet pocałowałem w rękę, czem tak się wzruszyła, że aż zapłakała, mówiąc, że prawie pewną jest, że kąpiele mamie pomogą. Jakże tu nie uwierzyć tak poczciwej kobiecie?

— Zapewne, zapewne — odezwała się Helenka, ale skąd weźmiemy tych roślin, kiedy ich zupełnie nie znamy?

— Już je poznałem moja droga, nauczyła mnie Andrzejowa, ale chodziłem przez całe pół dnia od samego świtu i zaledwie malutką uzbierałem garsteczkę, a tu trzeba przynajmniej trzech wielkich koszy. Musimy więc we czworo pójść na wyprawę, a mam nadzieję, że jak wyruszymy pod kalinowe moczary, to uzbieramy jednego dnia tyle co potrzeba. Tam jeszcze nie byłem, tylko przeszukałem bliższą okolicę.

— Idźmy więc, idźmy, choćby zaraz — odezwała się Helenka — ach! mój Janku, jakże ty dobry jesteś i poczciwy, że też to mnie pierwej nie przyszło do myśli.

— I ty dobra jesteś moja Helenko, bo zajmujesz się całem gospodarstwem, i myślisz o wszystkich naszych potrzebach, żeby nam niczego nie brakowało.

— Przecież jestem panną, kobietą, mama powinna mieć ze mnie wyręczenie.

— A ja jestem chłopcem, mężczyzną, powinienbym być ojcu kochanemu we wszystkiem użytecznym. Na drugi więc dzień rano, opowiedziawszy ojcu wszystko, dobre te dzieci równo ze wschodem słońca udały się wprost ku kalinowym moczarom. Ustawiwszy kosze pod krzakiem, same się rozbiegły, by szukać wietrznicy i sasanek, a dla oszczędzenia obuwia Janek i Bolcio zdjęli buciki, żeby je nie niszczyć bieganiem po twardszym gruncie. Robota szła im szparko, kosze napełniały się, ale jeszcze brakło lilji wodnej. Posunęli się więc dalej ku mokszadli bagnistej, brzegiem jej szli długo, nigdzie jednak tak upragnionej zdobyczy spotkać nie mogli. Nie zniechęcając się przecie, postępywali ciągle z jedną zawsze wytrwałością, choć Jadwinię nóżki bolały, a Bolcio się krzywił, że go palą podeszwy. I tak idąc doszli wreście aż do drogi publicznej, przechodzącej po moście przez małe bagienko, które ujrzawszy Janek, aż klasnął w ręce z radości. Na powierzchni bowiem tegoż bieliły się kwiaty lilji wodnej, rozsypane dosyć gęsto, i to tuż przy brzegu. Zaczęto też zaraz zbierać je pospiesznie, a gdy zerwano bliższe, Janek wypróbowawszy głębokość kijem, wstąpił śmiało w wodę, Helenka klęcząc na murawie sięgała ręką, o ile mogła najdalej, i co tylko udało się im zerwać, składali to do fartuszka Jadwini, która potem razem z Bolciem zanosiła kwiaty do koszów. Że jednak boso chodzić chłopczynie było bardzo niewygodnie, więc dla wypoczynku oparł się o wzniesienie gruntu tuż przy samej wodzie, i dla osłony od słońca okrył głowę małą wiązką zebranych liści i gałązek. W tem na mostku zaturkotało, i odezwał się jakiś głos z zapytaniem: „Co wy zbieracie panienki?“

— Kwiatki lilji wodnej — odrzekły dzieci, i podniósłszy główki, ujrzały stojący powóz niedaleko, a w nim siedzącego jakiegoś poważnego mężczyznę. Bolcio i Jadwinia przestraszeni podbiegli ku Helenie, i ukryli się za jej sukienką, wychylając tylko główki ku nieznajomemu. Ponieważ nieznajomy zadał kilka jeszcze pytań, więc Janek opowiedział wszystko szczegółowo, tak o chorobie matki, jak i o poradzie dobrej Andrzejowej.

Nieznajomy wysłuchał wszystkiego uważnie, i rzekł:

„Czyn wasz moje dzieci jest szlachetny, ale w leczeniu chorych, jakkolwiek rada doświadczenia bywa często pomocna, czasami jednak wielką przynosi szkodę. Ja jestem doktorem, właśnie wracam od chorego, siadajcie zatem ze mną do powozu, i zawieźcie mię do waszej matki. Helenka cokolwiek się zawahała w przyjęciu tak niespodziewanej ofiary, Jadzia z Bolcem szepnęły — jedźmy Helciu, jedźmy, — a Janek dodał: „Nie mamy się co namyślać, przecie wszystkich nas czworo nie porwie, bo i po cóż?

W pięć minut dzieci przygotowały się do podróży, kosze ustawiono na koźle przy furmanie, a same wsiadły do środka, Helcia tuż przy doktorze, trzymając Jadzię na kolanach. Przez drogę rozmowa na chwilę nie ustawała, z niej dowiedział się nieznajomy o wszystkich szczegółach położenia pp. Z. pocieszając dzieci skutecznością swojej pomocy.

Kiedy powóz zajechał przed dworek, czeladź się mocno zadziwiła, widząc wysiadające z niego dzieci, lecz one podbiegłszy do ojca z radością zawołały:

„Wieziemy doktora ojcze kochany, już teraz pewni jesteśmy, że matka kochana zdrową będzie. Nadzieja ta rzeczywiście się spełniła. Doktor zebrane zioła przez dzieci, znalazł nieszkodliwemi, ale oświadczył, że same kąpiele zdrowia nie przywrócą. Przepisał więc jeszcze lekarstwa, i często odwiedzał pp. Z. Że zaś w okolicy był powszechnie znany i szanowany, więc wszędzie opowiadał piękny dziecinny dowód miłości dla matki. Czyn ten tak dalece ujął wszystkich, że zrobiono składkę z bydła, z owiec, z koni i zboża, i jednego dnia wszystko to dostawiono na podwórze

dworku pp. Z. Przysłano przy tem list, w którym te słowa były napisane:

„Zacnym rodzicom dobrych dzieci, jako pomoc obywatelską, przesyłają sąsiedzi i przyjaciele.“

Pan Z. przeczytawszy to, rozpłakał się z radości, żona zaś jego klękła, i dziękczynną do Boga wzniesła modlitwę. Wtedy dzieci okrążyły wiankiem rodziców, a oni je w milczeniu radośnem i pełnem dumy błogosławili i ściskali czule.

Od tej chwili wszystko uległo nagłej zmianie. Matka wyzdrowiała zupełnie, ojciec zajął się podniesieniem gospodarstwa, do czego zyskał potrzebne zasoby, i Helcia uczyła Bolcia i Jadzię, przytem zajmywała się gospodarstwem, chcąc matce kochanej ulgę sprawić i uciechę, Janek zaś, ponieważ ukończył już 4 klasy w szkołach, poszedł do stolarza, dla ukształcenia się w tem rzemiośle. Dziś pp. Z. choć na małej fortunce są przecie zamożni, gospodarstwo się ulepsza, spichlerze napełniają, inwentarz pomnaża, a nawet mają i grosik oszczędzony, zbierając go na nieprzewidziane wypadki. Gdy opowiadają kiedy swoje utrapienia dawne, zawsze dodają: Przy pomocy bożej, winniśmy wiele z naszej pomyślności naszym dobrym, kochanym dziatkom. Za ich miłość i posłuszeństwo, Bóg dobry zesłał na całą naszą rodzinę swoje święte błogosławieństwo.

Przechadzki po polu i ogrodzie.

(Ciąg dalszy).

Do szczególnych przyjaciół sadów naszych zaliczamy przedewszystkiem wszystkie prawie przebywające u nas ptaki śpiewające, a nadto ptaki przeważnie się owadami żywiące, jak: drozdy, pokrzywki, gajówki, muchołowki, sikory i t. d., one bowiem wyjadają tysiące gąsienic i jajek. Otóż powinniśmy pilnie przestrzegać, by tych skrzętnych tępicieli wszelkich owadów i robaków nie płoszono, by im gniazd nie wybierano, jak to często swawolni chłopcy po wsiach czynić zwykli, owszem w czasie ostrej zimy, kiedy sobie pożywienia wyszukać nie potrafią, niekiedy i ziarnem lub okruszynami chleba nakarmili. W niemieckich krajach są ostre kary naznaczone na niszczycieli gniazd ptasich, a w wielu okolicach panuje zwyczaj, iż z gromadzkiego spichlerza w czasie zimy wydają zboże dla nakarmienia głodnych i zziębniętych ptaków. Wartoby, żeby i u nas takie chwalebne zapanowały zwyczaje.

Oprócz śpiewaków bardzo pożytecznymi dla drzew są wszystkie gatunki sów, z wyjątkiem już wyżej opisanego Puchacza, także Wykiem zwanego.



Puchacz Wyk *).

Najpospolitszy u nas z rodzaju sów jest *puszczyk*, po niemiecku *Waldkauz*. Żyje on w starych sadach, w zwaliskach murów, lub po strzechach zabudowań folwarcznych. Oprócz szczurów i myszy, wyjada on mnóstwo chrząszczów i gąsienic, przynosi przeto nieobliczone przysługi, a pomimo tego niewiadomość a raczej zastarzały zabobon zalicza tego użytecznego ptaka pomiędzy stworzenia ludziom nieprzyjazne, zkąd pochodzi, iż wielu czycha na jego zgubę. Otóż pamiętajcie nie tylko nie prześladować sami puszczyka, lecz także otrzegać innych niewiadomych, i głosić każdemu, jak on jest człowiekowi użytecznym.

W naszym kraju żyje dziewięć gatunków sów, a z tych ośm jest bardzo użytecznych, pomimo tego jednakże wszystkie są bardzo prześladowane. Nieoświeceni ludzie uważają wszystkie gatunki sów za ptaki złej wróżby, i dla tego je tępią.

Panuje u nas przesąd, że jak sowa zahuczy wieczorem, to ktoś umrze w domu. A zkądżeby sowa mogła mieć proroczego ducha? Jest ona zwiastunką śmierci, ale naszych wrogów, myszy, szczurów i gąsienic, które dzień i noc czyhają na

---

*) W numerze 5. i 6. „Opiekuna“ przy opisaniu Puchacza Wyka przez omyłkę odbito rycinę, tamta przedstawia „Puszczyka“, sowę u nas najpospolitszą, a obecnie załączona rycina puchacza „Wyka“. Patrz Nr. 5. i 6. Opiekuna.

nasze zbiory. Nierozsądnie więc postępuje każdy gospodarz, który pozwala wybierać młode sowy i takowe topić, nie wie on zapewne co dla niego jest pożytecznem, a do tych nierozsądnych częstokroć niestety należą u nas jeszcze i ludzie klas oświeceńszych.

Aby wam lepiej w pamięci utkwiła użyteczność sowy i abyście dokładniej mogli rozeznać pożyteczne u nas przebywające gatunki tego ptaka od jedynego szkodnika tak zwanego Wyka, podaje jeszcze dwa obrazki przedstawiające sowy.



Sowa zwykła uszata.

Tępi ona wprawdzie ptaki spiewające, jednakże w jej gnieździe znajdowano letnią porą do 15 już nieżywych myszy, a w żołądku 75 do 100 spożytych gąsienic i owadów.

Inny gatunek sowy, tak zwana *Uszata płomienista*, ma najpiękniejsze upierzenie, jest przeszło pół łokcia wysoką, i ma przy czole uszy z piór, któremi do woli poruszać może. Upierzenie jej wierzchnie jest ciemne, nakrapiane perłowatemi plamkami, pod skrzydłami i na piersiach ma pierze białawe. W niektórych tylko okolicach kraju naszego przebywa, jak koło Krakowa w skałach Ojcowa i górach olkuskich, żyje więcej w południowej Europie i Ameryce. Jest ona najsroższą tępicielką myszy, szczurów, a na wiosnę nie ma dla niej większego przysmaku nad chrząszcze.



Sowa uszata płomienista.

Przypatrzywszy się więc dokładnie całej budowie sowy, jej dzióbowi i pstrym zakrzywionym pazurom, łatwo się przekonamy, iż jest stworzoną do łowienia myszy i innych szkodliwych owadów. A gdy jeszcze zważymy, że ma nader czujny słuch, wzrok nawet w ciemności bystry, opierzenie tak miękkie, puchowate, iż jej lot żadnego szelestu nie sprawia, łatwo poznamy, że Opatrzność na to przeznaczyła ten rodzaj ptaków, aby pilnował naszych zbiorów, wtedy kiedy my sami po trudach dziennych odpoczywając, czuwać nad naszem dobrem nie możemy.

Pamiętajmyż więc nie prześladować sów, bo to bardzo pożyteczne stworzenia.

Niemniej jak sowy obawiają się i prześladują u nas niewinnego a bardzo pożytecznego niedoperza albo gacka. Może który z was widząc go,

szybko nakrył głowę, aby mu się włosów nie uczepił. A przecież nie ma się czego obawiać, bo on biedny sam się lęka ludzi, którym wielkie czyni usługi.

We dnie ukrywa się starannie, bo wtenczas nie ma nic do roboty, dosyć bowiem jest ptaków, pilnujących porządku. Ale wieczorem, kiedy muchy, komary, rozmaite robactwo i ćmy wychodzą ze swoich kryjówek, nietoperz rozpoczyna polowania; dla tego obok ptaków, niszczących owady, chociażby ich było najwięcej, on koniecznie jest potrzebnym. Najmniejszy ze znanych u nas odmian nietoperzy potrzebuje na jednorazowe nakarmienie więcej niż tuzin chrabąszczy, a oprócz tego zjada ćmy i wiele innych robaków. — Tak więc to niewinnie prześladowane stworzenie jest jednym z najskrzętniejszych sprzymierzeńców ogrodnika i gospodarza w tępieniu szkodliwych owadów.

Jak nietoperz w powietrzu, tak na ziemi kret zupełnie podobną wypełnia służbę, i on bowiem tylko w nocy żeruje.



Jeż.

To zwierzątko zdaje się być bardzo niezgrabnem, mimo to umie bardzo dobrze chwytać myszy, ślimaki, owady, poczwarki, robaki, węże i t. p. zwierzęta, które nawet z ziemi wygrzebać potrafi. Najulubieńszym dla jeża przysmakiem są żmije, będące jedynym u nas szkodliwym gatunkiem wężów, a które z powodu jadowitych zębow są szkodliwe i dla zwierząt i dla ludzi. Jeż sobie z ukąszenia żmji nic nie robi, a choćby go nawet w język ugryzła, to dla niego jeszcze mniej znaczy, niż dla innych zwierząt lub dla ludzi zakłucie igłą.

Jeż niszczy nadto wielkie mnóstwo szkodliwych owadów i robaków, i tem czyni gospodarstwu znakomitą usługę. Niekiedy chowają go nawet w miejsce kota, którego w wytępianiu myszy wybornie zastąpi, wyrządzając oprócz tego mniej szkody w spiżarni, niźli kot, chciwy na łakotki.

Pomimo tego przecież niszczą ludzie to zwierzątko. Przesądni utrzymują, że się tarza w jabłkach, aby je na swe kolce nabić i zanieść do nory. Lecz tego nikt zapewne na własne oczy nie widział, na cóżby się bowiem przydały jeżowi jabłka, lub też inne owoce, kiedy z nich nie ma użytku, bo nie posiada zębów do gryzienia owocu. Woli on mięso myszy, owadów i gąsienic, które w wielkiej pożera ilości.

Słoty jesienne i mrozy w zimie bardzo szkodzą jeżowi, a przytem lisy i puchacze „wyki“ czychają na niego. Z tych przyczyn starowny ogrodnik nietylko nie powinien nastawać na jeża, ale owszem starać się o niego. Najlepiej urządzić dla niego w ogrodzie w stósownem miejscu wygodne na zimę legowisko. O pokarm starać się nie trzeba, bo jeż podobnie jak nietoperz śpi przez zimę w otrętwieniu i budzi się dopiero w marcu, właśnie wtedy, kiedy rozmaite gąsienice i robaki także po śnie zimowym wyłażą.

Wielka wdzięczność ze strony gospodarza i ogrodnika należy się także tak zwanej *Kretomyszy*, którą także *ryjówką*, *ślepuszką* albo *ślepuszonką* zowią, po niemiecku *Spitzmaus*.



Kretomysz albo *ślepuszka.*

Żywi się ona wyłącznie tylko myszami, owadami, gąsienicami i ślimakami. Trzymanej dla doświadczenia w zamknięciu, dawano roślinne pokarmy, jak marchew, siemię, korzonki, gruszki, jednakże pomimo kilkudniowego głodu ani tchnęła tego pożywienia, dopiero gdy jej podano ulubiony przysmak, gąsienice, glisty, robaki, pożarła je natychmiast. Przekonano się, iż każdego dnia potrzebuje dwa razy tyle pokarmu, ile sama waży. Ileż to więc jedno takie zwierzę, ważące przecież kilka łutów, zjada przez rok owadów i robaków? Mimo tej użyteczności, mnóstwo kretomyszy rok rocznie zabijają, bo je uważają za rzeczywiste myszy, lub też za prawdziwych szkodników. Wszakże łatwo ją poznać, gdyż z długiego, ryjkowatego pyszczka kretomysz jest podobna do kreta, z którym nawet ma kolor wspólny, tylko długi ogon zbliża ją w podobieństwie do myszy. Oczy ma tak małe, że ich prawie nie widać, a i

te światła nie lubią, dla tego ją też lud nasz ślepuszką przezwał. Mysz ruda, czyli bura, która nieco jest podobną do tej przyjaciółki pól i ogrodów, ma przecież krótszy ogon, większe stósunkowo oczy i uszy, co zresztą w znacznej nawet odległości rozróżnić można.

Daleko ważniejszą, a nawet śmiało twierdzić można najważniejszą rolę w ogólnem gospodarstwie przyrody odgrywa kret, a najnieprzezorniejszym jest ogrodnik lub rolnik, który to zwierzę prześladuje. (C. d. n.)

Wiosenni goście.

Z dalekich krain południa powiał łagodny wietrzyk, stopniały już zimowe śniegi, ciepły deszcz dokonywa zwycięstwa, ogrzewa zmrożoną do niedawna ziemię. Rozchodzą się chmury, opadają mgły, słońce się ukazuje, a mocniejsze już ciepło jego promieni zwiastuje wiosnę, pełną życia i nadziei.

Równocześnie z nastaniem wiosny obudziło się życie w całej przyrodzie. Już od pierwszych cieplejszych promieni słońca ogrzane, zeszły i zakwitły białe jak śnieg kwiatuszki. To *śnieżyca*, najpierwszy gość w dąbrowie, najrańszy kwiatek wiosny! Już ukazał się i jego współzawodnik, i wzrostem i barwą daleko od niego okazalszy, na wysokiej, kilkułokciowej jego łodydze powiewa kwiat duży, ozdobny, różowo - fioletowy — to *szafran*, dziko w naszych lasach rosnący. Już zakwitło i *wilcze łyko*, wonnem, różowem kwieciem wyprzedzając zieloność liści, a po niem zaraz *leszczyna* wypuściła długie gronka, tak zwanych kotków, wreszcie i *brzoza* rozpuściła już swe zielone kosy, strojne balsamicznej woni liściem, i wierzba okryła się pączkami, a niebawem wszystkie drzewa pokryją się zielenią!

Ale i skowronek, ten najrańszy pieśniarz wiosenny, powrócił z obczyzny, — a z motylków najpierwszy *pokrzywnik*, o skrzydełkach czerwonych, z czarną obwódką i rzędem błękitnych plamek, a za nim *cytrynek*, o cytrynowo-żółtych skrzydełkach, rozpoczęły już po bezlistnych jeszcze konarkach swe swawolne gonitwy.

Otóż to pierwsi goście, najrańsi zwiastuny wiosny! — Za nimi niebawem przybyli i inni. Powitaliśmy już tak miłego wieśniakowi bociana, i uścielili dla niego wygodne gniazdo na spichrzu lub wysokim dębie, już i żurawie poważnem kołem zatoczyły w powietrzu nad naszemi głowami, a dzikie kaczki i gęsi pływają swobodnie po stawach i bagnach.

Z dniem każdym co raz liczniej rozkwitają kwiatuszki, a jedne milsze i piękniejsze nad drugie, jakby się ubiegały o zwrócenie oka ludzkiego na siebie. *Anemony* czyli *zawilce* zakwitły po gajach rozmaitemi barwami. Najpiękniejsze z nich *przylaszczki*, modre jak błękit nieba, najokazalsze zaś dziurkowate tak zwane *sasanki*, *czarne ziele* lub *sen*, a dalej złocisto-żółte i duże białe do narcyzów podobne, i kilka jeszcze innych gatunków, jak *miodunki* czyli *płuczniki*, rozwinęły różowo-błękitnawe koronki swoje.

Aleć i najmilszy ze wszystkich, chociaż najskromniejszy fiołek już zawitał między nas. Nie ma zapewne nikogo, ktoby się nie poił jego miłą wonią, nie nacieszył jego widokiem. Stary i młody schyli się chętnie do ziemi, by pomiędzy trawką odszukać tego skromnego ulubieńca wszystkich. Pamiętać jednakże należy, że zapach fijołków, chociaż tak miły i przyjemny, jest jednak dla zdrowia szkodliwy, jeżeli w nocy w ciasnem mieszkaniu znaczną ilość tego kwiatu zostawimy; wyziewając bowiem węglowy gaz, sprawia mocny ból i zawrót głowy.

Po fijołkach ukazały się zaraz *pierwiosnki*, którym niesłusznie nadano tę nazwę, bo nie są pierwszemi kwiatkami wiosny, mieszkaniec lasów zapewne zaszczycił ich tem mianem, bo one pierwsze zaczynają ubarwiać szare jeszcze posłanie naszych gajów.

Wreszcie i *jaskółka* zawitała w nasze poddasza. Ta niepozorna a tak luba ptaszyna jest niemylnym zwiastunem ciepła, po jej zjawieniu można się spodziewać, iż już nie powrócą mrozy. Wprawdzie niekiedy mylą się i jaskółki w przeczuciu pogody, i przylatują wcześniej, niż stałe ciepło nastąpi. Wówczas powtórnie odlatywać muszą, choć w bliższe zapewnie strony. Doświadczenie przekonało, że kiedy jaskółki wysoko w powietrzu bujają, pogoda stałą bywa; skoro zaś nisko przy ziemi żerują, nastąpią słoty. W kraju naszym cztery gatunki jaskółek się znajduje: *dymówka*, z czerwonem podgardlem i wielkim widełkowatym ogonkiem; *oknówka*, z białem podgardlem i nieco krótszym ogonkiem, obie gnieżdżą się obok mieszkań ludzkich; *brzegówka*, popielata, ma gardziel i brzuszek białe, kopie nory w wysokich brzegach nad wodami i w nich się gnieździ; *grzechotka* nakoniec, czyli *jerzyk*, prawie zupełnie czarna, z białem podgardlem, gnieździ się zwykle po miastach, w wysokich wieżach kościołów, koło których gromadnie latając, ciągle świegocze.

Otóż i wszyscy goście i zwiastuny wiosny, nie słychać jeno jeszcze słowika, tego piewcy nad piewcami! Za dni kilka przybędzie i on i zasiądzie w gęstwinie liściowej, a wtedy zabłyśnie

wiosna w całej już swojej świetności. Gaje zupełnie już pozielenieją, dęby rozpuszczą liście i drobne swe kwiatki, ciepły wieczorny deszczyk ożywi ziemię spragnioną i jej krzewy, ostatnie promienie słońca ozłocą lazurowe przestwory zachodu, zmrok zapadnie, a gwiazdki, jedna po drugiej, coraz liczniej wystąpią, aż nareszcie tysiące ich zaiskrzy się na pogodnem niebie. *To noc majowa!* Powietrze łagodne i ciche oddycha zapachem czeremchy i balsamiczną wonią topoli. Słowiki odzywają się zewsząd uroczą, godową pieśnią. Wtórują im echa, roznosząc daleko cudne brzmienia ich głosu.

Na przyległej łączce kracze derkacz jednostajnym, skrzypiącym tonem, grzechoczą żabki, poświstują żółwie w mocarze. O, jak piękny i rzewny jest ten śpiew nocny! Choć co wiosna się powtarza, zawsze zachwyca, i jakby nieznanym urokiem napawa człowieka.

W istocie, gdyby śpiewy ptactwa nie ożywiały lasów i pól naszych, zieloność liścia i rozmaitość kwiecia, nie zdołałaby im nadać tego wdzięku i życia, któremi co wiosna jaśnieją. Niech umilkną pieśni ptasząt, niech żadne z nich nie ukaże się w powietrzu; niech kos nie odezwie się w tej lesnej gęstwinie, skowronek nie zaśpiewa nad tem świeżo zieleniejącem się zbożem, słowik nie zanuci uroczej i tęsknej piosnki w tych zaroślach nadwodnych, a smutną i czczą stanie się wiosna; najpiękniejsze ogniwo zerwie się w harmonijnym związku przyrody! Ciesz się więc dziatwo z nastania wiosny, idź w pole, na łąki i do lasu, i oglądaj i podziwiaj te dary, jakiemi wiosna darzy człowieka. Odetchnij świeżem, wonnem powietrzem, nasłuchaj się śpiewu ptaków, przypatrz tej pracy w całej przyrodzie i porównaj z sobą samym. Tyś także w wiośnie twego życia, a jak wiosna darzy ludzi tyloma darami, tak ty obdarz kiedyś twoją Ojczyznę, twoich współbraci plonami pracy jakieś w wiośnie twego życia zasiał i chodował. Jeżeli teraz nie będziesz siał, to później zbierać nie będziesz! *A. K.*

Do pracy.

Czas zbiega, życie schodzi,
A tyle spełnić trzeba,
Dla ziemi i dla Nieba;
Do pracy, bracia młodzi!

Dzień za dniem szybko leci,
Co minie — to nie wraca,
Wśród trudu czas zbogaca,
Do pracy, drogie dzieci!

W niej potęga i siła,
W niej jest spokój sumienia,
W niej droga do zbawienia,
Do pracy dziatwo miła!

Trud z niebem spaja ziemię,
Zdobi ludzi zacnością,
Darzy cnotą, mądrością,
Do pracy, młode plemię!

Z wolą jakby ze stali,
Żyjąc zacnie, poczciwie,
O prac swych myślcie żniwie,
Bracia wielcy i mali.

A gdy życie przeminie,
Bóg rzecze: „Dziatki moje
Skończone wasze znoje,
Spocznijcie w mej dziedzinie.“

Spieszcie, spieszcie, czas leci,
A tyle zrobić trzeba,
Dla ziemi i dla Nieba;
Do pracy spieszcie dzieci!

Myśli i zdania.

— Prawdziwem nieszczęściem jest utrata zdrowia. Nieszczęścia tego niechaj każdy się spodziewa, kto zdrowia za młodu nie szanuje.

Być szczęśliwym każdy może; należy tylko zadawalniać się tem, czem Bóg obdarza. Jan Kochanowski pięknie to wyraził:

„Ten pan zdaniem mojem
„Kto przestał na swojem.“

— Młodość to jak rola, co starannie uprawna i dobrze obsiana, obficie później plonuje. U młodego uprawy tej dopełnia praca, obsiewa nauka, a starsze lata plon z tego zbierają.

Największym marnotrawcą jest próżniak, bo trawi darmo czas, którego za nic nie kupi.

Zagadka.

Pierwsza dosyć wielka rzeka,
W Adryatyk ona ścieka,
Druga rzecz to wszystkim znana,
Do pieczęci używa,
Całość wzdycha do swobody,
Ty nią jesteś bracie młody.

Skarbonka z roku 1872.

(na szkoły ludowe).

Marja, Stasio i Jadwisia Marcinkiewicze z Muchawki 60 ct. „jako drobniuchne ziarneczko na oświatę ludową.

Z drukarni Kornela Pillera. Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Aleksander Kisielewski.